

JAKUB BOBROWSKI
MATEUSZ WRONA

MIT
OLOGIA

A red bull skull with long, curved horns, centered behind the word 'OLOGIA'. The skull is rendered in a textured, almost woodcut style, with the horns curving outwards and then inwards. The background is a dark, textured green.

SŁOWIAŃSKA

BOSZ

ilustracje Magdalena Boffito

M I T



JAKUB BOBROWSKI
MATEUSZ WRONA

O L O
SŁOWIAŃSKA

ilustracje Magdalena Boffito

G



A



SPIS TREŚCI

Wstęp 4

CZĘŚĆ I

BOGOWIE

Stworzenie świata 7

Stworzenie niebios 14

Bogowie ziemi 19

Człowiek 25

Kraina umarłych 29

CZĘŚĆ II

BIESY 33

Biesy ziemskie

Duchy domu 35

Południca 42

Wąpierz 51

Wiedźma 63

Strzyga 72

Biesy wodne

Wodnik 88

Boginki 93

Biesy powietrzne

Płanetnik 99

Wiły 103

Biesy leśne

Leszy i mamuny 109

Wilkołak 113

CZĘŚĆ III

JUNACY 120

Samon, kupiec rudowłosa 123

Niklot, syn Północy 131

Słowniczek trudniejszych wyrazów

i nazw własnych 140

Bibliografia 142



WSTĘP

Zakrawa na paradoks, że współczesny Polak dysponuje prawdopodobnie znacznie szerszym zasobem wiadomości na temat mitologii greckiej, rzymskiej, być może nawet egipskiej czy mezopotamskiej, niż mitologii słowiańskiej, najbliższej mu kulturowo. Z niej przecież wyrasta w ogromnej mierze polski folklor, obrzędowość ludowa, a nawet liczne zwyczaje obecne w kulturze ogólnonarodowej, by przywołać tak klasyczne przykłady, jak malowanie jajek na Wielkanoc czy zapalanie zniczy na grobach w dzień Wszystkich Świętych i w Zaduszki. Rodzime wątki mitologiczne rozbrzmiewają również echem w polskiej literaturze – znaleźć je można u pisarzy tak różnych jak Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz czy Andrzej Sapkowski. A jednak gdyby zapytać przechodniów na ulicy o mitologię słowiańską, większość poza mglistym wyobrażeniem Światowida nie byłaby pewnie w stanie przywołać żadnych wiadomości.

Na stan taki złożyło się wiele przyczyn. Decydujące znaczenie ma zapewne fakt, że zachowało się bardzo niewiele świadectw mitycznego obrazu świata naszych przodków. Wyznawcy przedchrześcijańskiej religii pisma nie znali, więc nie mogli utrwalić swych wierzeń, a przedstawiciele chrześcijaństwa, tępiący pogańskie wierzenia z nadzwyczajną gorliwością, nie byli szczególnie zainteresowani zachowaniem dla potomności tego, czego nienawidzili. Oczywiście dysponujemy pewną liczbą źródeł, ale przedstawiają one słowiańskie wierzenia w sposób bardzo wyrywkowy i tendencyjny. Wiele reliktyw pierwotnego życia duchowego zachowało się w kulturze ludowej, ale często trudno jest je wyłuskać oraz zrekonstruować ich oryginalną postać.

Nie zważając na wymienione przeciwności, reprezentanci rozmaitych dyscyplin humanistycznych – historycy, antropolodzy, religioznawcy, językoznawcy – od lat prowadzą badania nad pierwotnymi wierzeniami Słowian, świetnie bowiem zdają sobie sprawę z kulturowego znaczenia tego zagadnienia. Dzięki ich wysiłkowi wiemy już dziś o mitach naszych przedchrześcijańskich przodków naprawdę niemało. Na polskim rynku wydawniczym pojawiło się wiele wartościowych opracowań naukowych, które jednak często napisane są językiem trudnym, mają charakter specjalistyczny, nie mogą więc raczej przyczynić się do popularyzacji wiedzy o mitologii słowiańskiej wśród szerszego grona odbiorców. Wprawdzie po 1989 roku powstało również kilka książek popularnych, czasem fabularyzowanych, przeważnie jednak są one owocami fantazji autorów, w nikłym zaledwie stopniu nawiązującymi do ustaleń współczesnej nauki.

Gdy postanowiliśmy przygotować książkę poświęconą mitologii słowiańskiej, uznaliśmy, że powinno być to opracowanie popularne, interesujące dla szerokiego kręgu czytelników, ale bazujące ściśle na opracowaniach naukowych. Stworzyliśmy zbiór fabularnych historii ilustrujących treść słowiańskich mitów i wierzeń. Fabuły są oczywiście owocem inwencji autorów, inaczej bowiem niż w przypadku mitologii antycznej nie dysponujemy żadnymi oryginalnymi zapisami narracji mitycznych.

Jednak wszystkie kulturowo-historyczne składniki opowiadań – imiona bóstw i demonów, ich atrybuty i zachowania, realia społeczno-obyczajowe – zgodne są z aktualną wiedzą naukową. Opieraliśmy się na najbardziej wiarygodnych opracowaniach, które wyszły spod pióra wybitnych uczonych – listę najważniejszych pozycji zainteresowany Czytelnik znajdzie w bibliografii zamieszczonej na końcu książki.

Założywszy, że forma przekazu powinna harmonizować z jego treścią, zadaliśmy o przemyślany kształt językowo-stylistyczny naszych opowieści. Wprowadziliśmy zatem umiarkowaną, ale jednak dość wszechstronną archaizację tekstu (pogłębianą w wybranych fragmentach, co zawsze uzasadnione jest fabularnie). Trudniejsze, zresztą przeważnie powtarzające się wyrazy objaśniamy w słowniczku na końcu książki. Świadomie unikaliśmy słów wyraźnie obcojęzycznej proveniencji, odsyłających do kodu kulturowego i świata pojęć nieprzystających do wyobrażeń dawnych Słowian. Dlatego nigdy nie pojawia się w naszych opowieściach wyraz demon, jest za to bies, nie mówimy o naturze, ale o przyrodzie itd. Dużą wagę przywiązywaliśmy również do indywidualizacji języka bohaterów – wypowiedzi niektórych postaci okrasiliśmy elementami potocznymi, a nawet gwarowymi.

Książka składa się z trzech części. Pierwsza to fabularna rekonstrukcja mitu kosmogonicznego, teogonicznego i antropogenicznego, opowiada zatem o powstaniu świata, bogów i ludzi. W drugiej staraliśmy się w cyklu opowiadań przybliżyć czytelnikowi świat słowiańskiej demonologii. Tonacja tych opowieści jest dość zróżnicowana – obok elementów grozy i niesamowitości pojawiają się też pierwiastki liryczne, a nawet komiczne. W trzeciej części podjęliśmy próbę „stworzenia na nowo” słowiańskich mitów bohaterskich (skądinąd nieznanych).

Mitologia słowiańska jest pierwszym tego rodzaju literackim opracowaniem podań naszych pogańskich przodków. Ogólna konwencja książki zbliżona jest nieco do popularnych syntez mitologii antycznej, ze słynną *Mitologią* Jana Parandowskiego na czele. Jako opracowanie pionierskie nie jest zapewne całkowicie wolna od niedoskonałości, mamy jednak nadzieję, że spotka się z życzliwym przyjęciem Czytelników i spełni postawione przed nią zadanie – przyczyni się do wzrostu społecznej świadomości słowiańskich, przedchrześcijańskich korzeni naszej kultury.

Autorzy





Człowiek

Był słoneczny dzień, ciepły i jasny. Perun właśnie skończył przejażdżkę na swym białym rumaku, w czasie której grał na turzym rogu i pędził za dziką zwierzyną. Zmęczył się bardzo tą pogonią i przystanął nad jeziorem. Koń zaczął leniwie szczypać trawę, a Perun zrzucił szaty i wskoczył do wody. Na brzegu przysiadła Mokosz i przyglądała się panu błyskawic w kąpieli.

W końcu Perun wyszedł na piaszczysty brzeg jeziora i wytarł się wiechciem słomy, gdyż powietrze było wilgotne i duszne. Chcąc jak najszybciej powrócić między leśne zwierzęta, przywdział szatę, poprawił przytroczony do pasa młot oraz róg, wsiadł na konia i ruszył w gęstwinę.

Mokosz została sama. Siedziała strapiona, spoglądając na jezioro.

„Czemu Perun woli leśne wędrówki ode mnie?” – myślała.

I już łzy żalu napływały jej do oczu, gdy na gładkim jeziorze coś się poruszyło. Tafla wody zmarszczyła się i pokryła falą niczym rybia łuska. Z głębi dał się słyszeć cichy ryk i woda zabulgotała dziko, pryskając wokół białą pianą. Bogini ziemi wstała, patrząc z przerażeniem na dziwne zjawisko. Z mętnej toni zaczął wyłaniać się mąż. W pierwszej chwili Mokosz myślała, że to Perun wychodzi z wody, ale zaraz ujrzała czarne włosy oblepiające mocne ramiona i poznała, że to jakiś inny bóg.

Weles wyprostował się i ruszył do brzegu. Wkroczył nań i spostrzegł słomę porzuconą na piasku. Podniósł żdźbła i zaczął łączyć je z wilgotną ziemią, lepiąc dziwne figury. Mokosz, wyzbywszy się pierwszego przerażenia, podniosła pozostałe słomki i naśladując tajemniczego gościa, lepiła z nich podobne kształty. Duże dłonie Welesa i drobne Mokoszy obracały słomę i łączyły ją z ziemią, tworząc tułów, głowę i w końcu członki małej postaci. Mokosz zbliżyła się do mrocznego boga, a gdy Weles spostrzegł ją, zadziwiła go pięknem smukłej sylwetki. Patrzyli na siebie długo, bez słowa, aż wreszcie złożyli swoje figury na trawie i zbliżyli się do siebie. Widząc, że bogini wodzi oczami za każdym jego ruchem, Weles śmiało dotknął jej ramion, a spragniona dotyku i stęskniona pieśczęt Mokosz zarzuciła mu ręce na szyję. Pan podziemia łapczywie chwycił jej rozedrgane ciało i łączyli się ze sobą.

...

Leżeli wyczerpani na piasku, ciesząc się promieniami słońca, gdy Weles spojrzał na ulepione wcześniej figurki. Postanowił je ożywić ku uciesze swej kochanki. Wziął patyk i zrobił w postaciach otwory, w które tchnął cząstkę mocy. Jednak nic się nie wydarzyło, figurki leżały bez ruchu. Zdenerwowany niepowodzeniem Weles zanurzył się w ciemną toń jeziora i zniknął. Opuszczona Mokosz zrozumiała, że tajemniczy przybysz wykorzystał jej naiwność. Dopiero wówczas pomyślała o tym, coż Perun uczyni na wieść o jej zdradzie – i zadrżała ze strachu. Wstała, ubrała się w pośpiechu i umknęła na dzikie łąki.

Niedługo potem Perun powrócił nad jezioro i zdziwił się wielce, że na brzegu nie ma Mokoszy, a zamiast niej leżą w piasku dwa dziwaczne kształty z posklejanej ziemią słomy. Podniósł je i długo oglądał z każdej strony. Wpadł na podobny do Welesowego pomysł i tchnął w nie życiodajną moc. W tej samej chwili członki ich poruszyły się, a po chwili stwory otworzyły oczy i usiadły, rozglądając się ciekawie. Tak powstałi pierwsi ludzie. Ulepiony przez Welesa stał się mężczyzną, przez Mokosz – kobietą.

Perun porzucił swoje ulubione zajęcia i nie spędzał już całych dni na polowaniach. Obserwował za to ludzi, którzy z początku kryli się po lasach, szukając w nich pożywienia. Poznawali przyrodę i wykorzystywali jej dary na własny użytek. Pana błyskawic najbardziej zachwycała pomysłowość małych istot. Ich ciała były kruche i nagie. Nie mieli jak zwierzęta futer, ostrych kłów ani szponów. Pomimo tego radzili sobie z chłodami, budując szałas z gałęzi i czyniąc sobie z liści pośłania. Zbierali owoce lasu, a wkrótce nauczyli się chwytac dzikiego zwierza, karmili się jego mięsem i odziewali w skóry oraz futra. Częstka drzemiącej w nich boskiej mocy pozwoliła mężczyźnie łączyć się z kobietą tak, by rodziła potomstwo. Czas płynął, a ludzi było na ziemi coraz więcej. Wkrótce niezliczone grupy rozeszły się po całym świecie.

W tym czasie, kiedy Perun przyglądał się ludziom, Mokosz powiła Welesowego syna. Dała mu imię Rod i wychowywała w ukryciu, aby żaden z bogów nie doniósł Perunowi o jej występku. Rod rósł pod jej opieką i z cichego chłopca wyrósł na równie cichego męża. Mokosz przyglądała mu się bacznie i dostrzegała w jego posępnej twarzy rysy ojca. Oczy miał identyczne jak Weles, ciemne i głębokie jak pradawne wody. Tylko sylwetkę odziedziczył po matce – nie był rostry, lecz smukły, a jego postawa kryła w sobie kobiecą delikatność. Bogini ziemi, widząc te podobieństwa, tym mocniej odczuwała doskwierającą jej od dawna samotność. Pewnej nocy położyła się obok swego syna i obdarzyła go pieśczotami. Rod, nie znając poza nią żadnych innych istot, oddał się tym przyjemnościom. Tej nocy poczęli trzy boginki, które po przyjściu na świat nazwali Rodzanicami.

Owoców kazirodczego związku nie mogli długo utrzymać w tajemnicy. Nie wiadomo, czy to Dadźbóg podpatrzył ich z nieba, czy też przypadek sprawił, że przybył do nich sam Perun. Początkowo wpadł w strasliwą wściekłość, widząc kochankę z nieznanym bogiem i trójką małych boginek. Sypał błyskawicami we wszystkie strony tak, że okoliczne drzewa łamały się niczym cienkie gałązki.

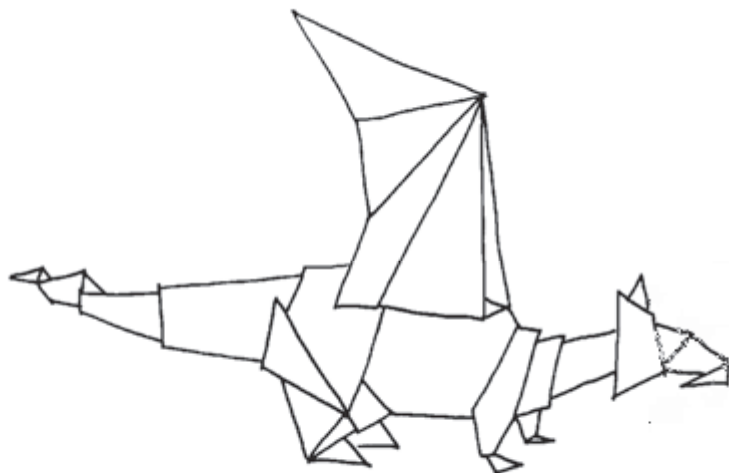
– Cóż to wszystko znaczy? – ryknął.

Przerażona Mokosz przyznała się do wszystkiego. Opowiedziała Perunowi o Welesie, ich zdradzie oraz ulepionych z ziemi figurkach. Opowiedziała, kim jest Rod i jak dopuściła się kazirodztwa, którego skutki widzi przed sobą. Perun chciał w pierwszej chwili zmiażdżyć ją młotem, ale widok łkających ze strachu boginek zmięknął jego serce.

– Za ohydne czyny, jakich się dopuściłaś, poniesiesz karę. Za sprawą twoją i Welesa

pojawił się człowiek. Dlatego będziesz karmić ich ciała, które wrócą do ciebie po śmierci! A duch, który w nich mieszka, niech idzie do Welesa!

Tak spełniły się słowa Peruna wypowiedziane, gdy nakładał na Welesa karę po stworzeniu świata: „Ponieważ ośmieliłeś się wystąpić przeciw mnie i stworzyłeś Wielkiego Smoka na zgubę ziemi, trafi do ciebie wszystko, co na niej umrze”.



Mówiono we wsi o różnych dziwnych i osobliwych rzeczach, jakie starzy widywali na tym świecie. O ognistych ptakach zlatujących na domostwa i zwiastujących nadchodzące bogactwo, o duchach domu, Mokoszy odwiedzającej przedące niewiasty oraz innych dziwach. Nikt z młodych nie spodziewał się jednak, że pod ich nosem jakieś niezwykle wypadki zdarzyć się mogą.

Życie w wiosce toczyło się spokojnym ciągiem codziennych obowiązków, który przerywały jedynie radosne święta ku czci bogów. Mieszkańcy tej niewielkiej osady, leżącej gdzieś na lewym brzegu szerokiej Wisły, zajmowali się rolnictwem, co zapewniało im utrzymanie i skromny, ale pocziwy żywot. Ludzie z sąsiednich osiedli zajeżdżali czasem konnymi wozami po zboże, przywożąc w zamian potrzebne dobra. Niektórzy z miejscowych rolników przez całe życie ni razu nie opuścili rodzinnej wioski.

Mieszkała wśród nich dziewczyna imieniem Tolisława – córka rolnika z ojca i dziada. Uroda panny zachwycała każdego młodzika i niejeden starał się o jej względy. Zachodzili tacy wieczorami pod chatę Tolisławy, zostawiając pod drzwiami wianki z polnych kwiatów. Dziewczyna nie zwracała jednak uwagi na zalotników i rzadko opuszczała dom. Nawet w noc Kupały nie chciała bawić się z młodymi, którzy tańczyli i skakali przez ogniska aż do świtu. Całymi dniami przędła len razem z matką i babką, a wieczorami cesała jasne jak pszenica, długie włosy, po czym kładła się do snu.

Mieszkał w tejże wsi młody chłopak, który jako jedyny w okolicy nie uprawiał roli. Całe dnie spędzał w gęstej kniei, polując na dzikiego zwierza. Wędrował z łukiem i kołczanem pełnym szypów przewieszonym przez szerokie plecy, tropiąc sarny i jelenie. Zdobyczą dzielił się chętnie, co cieszyło mieszkańców wioski, bo im mięsa nie brakowało. Chłopak uchodził za dziwaka, bo szwędając się samotnie, zdziczał jak zwierzę. Miał kasztanowe, przycięte krótko włosy, ostry nos i srogie spojrzenie ciemnych oczu. Pewnie przez to właśnie groźne wejrzenie w osadzie mówiono o nim Gniewko. Rodzice pomarli mu od zarazy, więc mieszkał sam. Choć rzadko się odzywał, z ludźmi żył dobrze, mimo to nikt nie śmiał wchodzić mu w drogę, bo był „dzikus i samotnik”.

Zdarzyło się raz, że idąc na polowanie, mijał chatę pięknej Tolisławy, która właśnie rozwieszała świeżo wyprany przyodziełek. Na rozpiętym między drzewami sznurze leniwie kołysały się koszule, czekając, by Dadźbóg osuszył je blaskiem swojej tarczy. Długa lniana suknia Tolisławy powiewała na wietrze, a gruby jasny warokcz opadał aż do jej pasa obwiązanego zdobną krajką, podkreślającą kształtną kibić. Myśliwiec zatrzymał się i długo nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Rolnicy idący w pole pokazywali go sobie palcami, bo nigdy nie widzieli, żeby zwrócił uwagę na cokolwiek poza lasem.

– To utrafił nasz Gniewko! – śmiali się najmłodsi.

– Odechce mu się miłostek przy Tolisławie!

– My już wszyscy próbowali szczęścia.

Lecz Gniewko nie słyszał ich docinków, stał zapatrzonny. Ruszył w stronę boru, dopiero gdy Tolisława spostrzegła go i umknęła do domu.

Wrócił pod wieczór, kiedy szczyt Dadźboga czerwienił niebo, chowając się za ścianą lasu. Podeszedł pod chatę pięknej dziewczyny i zapukał do drzwi. Otworzył jej ojciec.

- A co sprowadza myśliwca? - zapytał z niekrytym zdziwieniem.

- Upolowałem szaraki dla panny - odparł Gniewko, patrząc hardo na starego rolnika.

Dar był znaczny, więc przez moment stary wahał się, co zrobić. Chwilę stał zakłopotany, ale w końcu wziął zające i podziękował. Zaprosić chłopaka do środka nie mógł i nie chciał. Zza jego pleców wyrzała zaciekawiona żona. Gniewko nie oczekiwał najwyraźniej żadnej podziękacji, bo odwrócił się i odszedł. Ojciec zamknął drzwi i trzymając dwa szaraki za skoki, zerkał surowo na córkę, która siedziała obok babki, a oczy kryła za burzą jasnych włosów.

- Następny się rozkochał w Tolisławie - powiedział i zmarszczywszy brwi, czekał na odpowiedź córki.

Ta jednak nawet nie drgnęła.

- Żeby tylko jakiego nieszczęścia z tego nie było. On straszny taki i patrzy jak wilk - chwytając się za głowę, biadoliła matka.

- Nic nam, córka, nie powiesz? - zagadnął znów ojciec, chcąc wywieść się, czy coś aby między młodymi nie zaszło.

Tolisława swoim zwyczajem nie powiedziała nic, co jeszcze większy niepokój wzbudziło w rodzicach. Ale po prawdzie nie raz już młodziaki biegali koło młodej panny i nic nie wskórali, bo nawet jak który spodobał się matce, to na zainteresowanie czy choćby spojrzenie Tolisławy liczyć nie mógł. Wszyscy dotąd zniechęceni szybko znajdowali sobie inne dziewczęta, które tylko czekały na młodych zalotników, toteż w domu rolnika myślano, że tak będzie i tym razem.

Jednakże myśliwy nadal przynosił podarki z lasu i wpatrywał się uparcie w okna chaty, ilekroć koło niej przechodził. Tolisława nigdy nie rozmawiała z Gniewkiem i unikała go na każdym kroku. Jedynie stara babka zauważyła, że dziewczyna czasem spogląda za nim przez uchylone drzwi, gdy wracał do swej chałupy.

Z czasem stary gospodarz - choć zadowolony ze specjalnych względów, a szczególnie z dziczyzny, grzybów i jagód, jakie obficie spływały do domu - pożałował Gniewka.

„Namęczy się chłopak, nawzdycha, a tu go i tak nic dobrego od Tolki nie spotka” - myślał.

Wyszedł raz przed chatę, wypatrywszy zawczasu zbliżającego się myśliwca. Zatrzymał go w drodze i rzekł:

- Słuchaj, Gniewko! Wiem, żeś dobry chłopak, ale wiem też, że nie skaczesz koło naszej chałupy dla dobrego serca, ino dla dziewczyny. Ja ci na drodze nie stoję, ale widzisz chyba, że na darmo te starania. My już przywykli, że Tolisława do ludzi się nie garnie i sama pewno do śmierci będzie.

Gniewko patrzył na niego w milczeniu. Rolnik uspokojony, że chłopak nie wpada w gniew, mówił dalej:

– Jesteś młody i silny. Niejedna tu za tobą patrzy. Poniechaj naszej córy, bo i ludzie już dziwne rzeczy gadają.

– Gospodarzu, niech mi to sama powie, a moja noga już tutaj więcej nie postanie!

Ojciec nie chciał chłopakowi odmawiać, bo polubił go nawet i za wszystkie podarki chciał się chociaż życzliwością odpłacić. Przywołał więc Tolisławę.

– Tolka, Gniewko ma sprawę do ciebie! – powiedział i wszedł do domu.

Tolisława wyszła do chłopca i spuściła wzrok.

– Spójrz na mnie! – powiedział.

Podniosła głowę i ujrzała jego oczy – jak nigdy wcześniej łagodne i pełne lęku. Gniewko przemówił:

– Nikt mi już nie pozostał na tym świecie i myślałem, że przyjdzie mi samotnie dojść do Nawii. Od pierwszego spojrzenia miłuję cię nad wszystko i zrobię, co każesz. Klnę się na Peruna, że jeśli pozwolisz, to wezmę cię za żonę, dam dom i spełnię, cokolwiek zapragniesz. Jeśli mnie nie chcesz, to pójde precz, tylko nie patrz na mnie jak na wroga.

Umilkł i wpatrywał się w nią, a serce biło mu tak mocno, że dziwił się, czemu nie rozłupie mu piersi i nie spadnie jej pod nogi. Po chwili, która Gniewkowi wydała się trwać jak dzień cały, rzekła:

– Gniewku, nie spotka cię ode mnie szczęście, którego pragniesz.

Po tych słowach uciekła do chaty jak spłoszona łania. Ojciec i matka Tolisławy zerwali się z ławy na widok córki z trudem wstrzymującej łzy. Ona jednak skryła się w swoim kącie i nie mówiła nic. Rolnik skoczył na obejście, ale nikogo już tam nie zastał.

Skończyły się tym samym wizyty myśliwego w domu rolnika, a wraz z nimi zniknęły leśne smakołyki i piękne futra zwierząt. Gniewko, tak jak obiecał, nie nachodził więcej ich domu.

Od tamtego czasu Tolisława stała się jeszcze bardziej tajemnicza i cicha. Prawie zupełnie przestała odzywać się do ludzi. Całe dni spędzała z babką, tkając lniane płótno. Ojciec myślał, że może to rozmowa z myśliwym spowodowała jej dziwną przemianę, ale kiedy pytał o powód frasunku, nic nie chciała mu wyjawiać.

– Przejdzie jej. Parę księżyców przebiegnie niebo, to zapomni i znów będzie jak dawniej – uspokajał zmartwioną żonę rolnik.

Minął czas żniw, a Tolisława wcale nie zdawała się weselsza. Stroskana matka przyglądała jej się uważnie i martwiła coraz bardziej, widząc, że córka już nie czesze pięknych włosów, jak to robiła co wieczór. Spostrzegła też, że Tolisława nie ma apetytu i chudnie w oczach. Pewnej nocy spytała starą babkę, co może trapić Tolisławę, na co ta odrzekła:

– Różne rzeczy dzieją się na świecie. Topielce z wody wyłazą, wisielce po drogach się snują, a czasem dusza żywego wyłazi z człowieka i lata po polach.

Żona rolnika przeraziła się wielce. Bo chociaż babka była już stara, pamiętała mnóstwo opowieści o bogach i duchach.

„Rzeczywiście mówiło się o boginkach i upiorach, ale dlaczegoż Tolisława miałyby mieć z tym do czynienia? Z drugiej strony co jeśli babka ma rację i dusza ucieka z biednej dziewczyny?” – tak rozmyślała, patrząc na śpiącą córkę, która nie mogła widocznie znaleźć sobie wygodnego miejsca w pośłaniu, bo przewracała się z boku na bok.

Przyszła zima, a wraz z nią pierwsze śniegi pokryły pola. Tymczasem Tolisława cierpiała coraz bardziej. Rodzice z niepokojem patrzyli na jej bladą, wychudłą twarz i posiniałe oczy. Co noc jęczała i zrywała się nad ranem z krzykiem lub padała na podłogę, nie mogąc złapać tchu.

– Zmora ją dusi. Słyszałam ja o zmorach, co nękają nocą piękne dziewczęta – cedziła przez bezzębne usta babka. – To dusze dziewczyn zazdrosnych o urodę przychodzą i duszą we śnie.

– Cóż zaradzić? – pytała matka. – Poradź co, babko, bo nam córkę zadusi.

– Znam taki sposób, co by zmorę oszukać i wystraszyć – rzekła. – Trzeba ciernie rozrzucić wokół łóżka, to się bies porani i ucieknie. Dobrze też leżeć głową tam, gdzie zwykle nogi. To zmorę oszuka i nie wróci więcej.

Dopiero po tej rozmowie matka zrozumiała, że to nie Tolisławę dusza wyłazi i hula po polach, ale że to ją jakaś zmora nawiedza. Z braku innej rady ojciec poszedł w las i naciął zmrożonych badyli o ostrych kolcach. Poukładał je z żoną wieczorem przy pośłaniu Tolisławę, a jej samej kazali spać odwrotnie niż zazwyczaj.

Następnego ranka cała rodzina stanęła przy Tolisławie z radością, którą rychło przyćmiła zgroza. Córka przespała spokojnie całą noc i pierwszy raz od dawna wstała wypoczęta, na ziemi jednak przy cierniowych gałęziach znaleźli krwawe ślady.

Sposób babki podziałał, ale jak się okazało – nie na długo, bo kilka nocy później nękanie zaczęło się na nowo, teraz ze zdwojoną siłą.

– Cóżżeś, stara, uczyniła?! Rozgniewaliśmy jeno biesa! – krzyczał na babkę rolnik, który posiwił w kilka dni.

Nie mogąc znieść swej bezradności, wskoczył w końcu na konia i przez śniegi wyjechał z wioski. Wrócił pod wieczór, ale nie sam. Przywiózł ze sobą sędziwego mężczyznę.

– Oto jest żerca z sąsiedniej wsi. Ludzie mówią, że zna się na leczeniu i Welesowych czarach – oznajmił, kiedy weszli do domu.

Staruch dokładnie przyjrzał się Tolisławie i jej pośłaniu.

– Co cię nawiedza, dziewczyno? – zapytał w końcu.

– Co noc coś wchodzi do mojego pośłania i gniecie – mówiła przez łzy. – Potem kładzie się na moich piersiach tak, że tchu złapać nie mogę.

Starzec pokiwał głową i mrucząc pod nosem, wrzucił do misy z łojem wysuszone zioła, po czym namoczył w niej szmaty. Kazał porozwieszać je na drzwiach i oknach chłupy, a sam podwiązywał u powały pęki wonnych roślin i ziół, których przywiózł cały

worek. Żerca spędził noc całą, czuwając nad śpiącą dziewczyną. Jego sposoby przyniosły skutek i z rana, po obfitym posiłku, uradowany ojciec odwiózł go z powrotem.

Spokój był tym razem ze zmorą aż do pierwszego wiosennego pioruna. Kiedy Dadźbóg z dnia na dzień wspinał się coraz wyżej na niebo, zjawa wróciła. Nie pomagały stare sposoby babki ani zioła. Tolisława dusiła się co noc i nikt nie mógł jej pomóc.

Wreszcie pewnego ranka straszna rozpacz zapanowała w domu rolnika, bo znaleziono młodą dziewczynę martwą. Jej twarz była sina, oczy stanęły w słup, a piękne włosy rozlały się na posłaniu w nieładzie. Cała wioska pogrążyła się w żałobie, bo wszyscy wiedzieli o straszliwych odwiedzinach nocnej zmory i żalowali wielce gospodarzy, którzy nieszczęściu nie mogli zaradzić. Przygotowano dla zmarłej stos pogrzebowy i patrząc, jak ogień trawi jej młode ciało, zaklinano bogów, by uchronili inne dziewczęta przed tak straszliwym losem.

Na uroczystość przybył także Gniewko. Dopiero teraz przypomniano sobie o uczuciu, jakim zapalał do młodej dziewczyny i tym większy żal chwycił za serca zebranych. Stał tam myśliwiec w milczeniu i wpatrywał się w twarz umiłowanej, której jasne włosy, opadające teraz na stos drewna, przyozdobiono wiankiem z kwiatów, jako że zmarła niezamężna.

Gniewko przez kilka dni nie wychodził z domu. Porzucił bór i codzienne zajęcia, a we wsi zgadywano, że opłakuje niedoszłą kochankę. On tymczasem snuł się po chacie, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Szlochał, krzyczał i bił pięściami na oślep. Była już późna noc, kiedy padł umęczony na podłogę i zasnął. Wtedy właśnie targnął nim silny dreszcz. Ciało wyprężyło się, a z piersi wyszła jasna mgiełka, zatańczyła w powietrzu jak dym i leniwie opadła na ziemię. To dusza młodzika opuściła jego ciało i popełzła pod drzwi. Przeleciała szczeliną nad progiem i pomknęła przez wioskę. Gdyby ktoś ujrzał to dziwne zjawisko, pomyślałby, że to łasica lub mysz mknąc między domami. Nikogo jednak w pobliżu nie było. Uspiona wieś stała cicha i ciemna.

Zmora dotarła do domu zmarłej i wleciała uchylonym oknem. Zawisała nad posłaniem, w którym dotąd sypiała piękna Tolisława, i zastygła w bezruchu. Krążyła później chwilę wokół łóżka i nie znalazłszy ukochanej, pomknęła na podwórze, a stamtąd do zagrody. Dusza myśliwca odszukała konia, na którym rolnik przywiózł żercę, i owinęła się wokół jego łba. Koń wierzgał i bił kopytami. Na nic się to jednak zdało, bo zaraz padł bez życia na klepisko.

Rankiem u wrót stajni stali wszyscy rolnicy ze wsi, łapiąc się za głowy i złorzecząc. Ojciec Tolisławy przeklinał zmorę, bo był pewien, że śmierć córki nie wystarczyła biesowi i teraz szuka pomsty w jego gospodarstwie. Wszystkie kobiety z okolicznych chat wieszały w drzwiach i oknach wonne zioła, by chronić się przed złąkana duszą.

Czas płynął, pola obsiano, a w zagrodach ciągle zdarzało się, że ludzie znajdowali martwe zwierzęta. Żadne sposoby nie pomagały. Ostatecznie cieszą się z tego, że zmora nie nęka ludzi i zadowala się zwierzyną.



BIESY WODNE

Wodnik

Suliśław szedł wzdłuż usypanych równo wałów siana. Przystawał co chwila i grzebał w nich, badając, czy aby dobrze schną. Badanie musiało wypadać bardzo niepomyślnie, bo Suliśław kłął przy tym okropnie. Wiedział, że świeżo skoszona trawa potrzebuje kilku, a czasem kilkunastu dni, zanim nada się na paszę. Powietrze było wilgotne, a to za sprawą położonego nieopodal jeziora, jednak dni ostatnio były niezwykle upalne i siano już dawno powinno być suche jak wiór. Obszedł wały raz jeszcze i skręcił w stronę jeziora.

Woda była spokojna. Po skrzęcej się w migotliwym blasku wschodzącego słońca tafli sunęły wolno łodzie rybaków ściągających zastawione na noc sieci. Połów był udany. Jezioro zapewniało wszystko, czego mała osada mogła potrzebować. Ryb było zawsze pod dostatkiem, starczało dla wszystkich, a to, co zostało, można było łatwo sprzedać lub wymienić w okolicy. Dlatego mieszkańcy wsi nie martwili się o inne dobra. Wóz pełen świeżych ryb zaraz po połowie ruszał na wymianę i wracał z chlebem, serem i kaszą.

Suliśław miał dbać jedynie o to, by dla koni ciągnących wóz dość było paszy. Dlatego też złościł się i dziwił, że siano w zgrabne kupy usypane nie chce schnąć w letnim słońcu. Chorsa tej nocy należało się spodziewać z pełnym obliczem, toteż Suliśław postanowił w jego blasku podpatrzyć, czy mu kto pracy nie psuje po złości.

Kiedy już noc zapadła, Suliśław wyruszył z chaty na zwiad. Chors faktycznie świecił w całej okazałości. Po niebie wędrowały wąskie pasma czarnych na tle srebrzystego nieba chmur. Od bladej poświaty księżyca było niemal widno, dlatego Suliśław przemykał w stronę stogów, kryjąc się za rzędami rosnących opodał jabłoni. Gdy był na tyle blisko, by obserwować okolicę i pozostać niezauważonym, przysiadł pod drzewem i wbił wzrok w wał schnącego siana. Od razu zauważył, że coś się w nim porusza.

– Wodnik, zaraza! – zaklął Suliśław przez zęby.

Nazwany wodnikiem miał postać ludzką, ale na pierwszy rzut oka można było odkryć, że człowiekiem nie jest. Ręce miał długie i chude, podobnie jak koślawe nogi. Cała sylwetka była zgarbiona, co czyniło go podobnym do pokrzywionego starca. Skóra wodnika błyszczała w blasku księżyca, co mówiło Suliśławowi, że dopiero co wylał z wody i cały jest mokry. Ubrany zaś był w coś, co mogło być kiedyś koszulą, a teraz przypominało potarganą szmatę wiszącą na wychudłym ciele.

Stwór szukał najwyraźniej wygodnego miejsca, bo lał po siennym wale i coraz to przystawał, grzebiąc w nim długimi paluchami. Zbliżył się tak do ukrytego Suliśława, że oczom obserwującego ukazała się skóra wodnika. Była jasnoszara, a miejscami nawet – w bladym świetle widział to wyraźnie – zgniłozielona. Łeb jego był równie szkaradny. Tak jak całe ciało, pokrywały go liszaje i wrzody, z których przy każdym ruchu tryskała woda. Oczy wylupiaсте jak u żaby sterczały z wychudłej i pomarszczonej twarzy, co

sprawiło, że był zarazem zabawny i straszny. Błoniaste stopy podobne były do kaczych i wodnik człapał nimi po sianie. Po chwili znalazł wreszcie dogodne dla siebie miejsce, bo przysiadł w kopie i zaczął wyciskać swoje wrzody chudymi paluchami. Sulisław z najwyższym obrzydzeniem patrzył, jak wodnik iska pomarszczoną skórę, wydłubując z niej wodne robactwo. Co i rusz pakował sobie wijącą się pijawkę w ociekający wodą pysk.

Korzystając z tego, że stwór zajęty był sobą, Sulisław uzbroił się w długi kij i ruszył wolno w jego kierunku. Zaszedł wodnika z tyłu i zamachnął się szeroko. Kij wylądował na plecach stwora z głośnym plaśnięciem. Woda trysnęła z szarego ciała, a sam trafiony zawył i zabulgotał. Ośmielony sukcesem Sulisław natarł na szkodnika z całą furią, jaka w nim wezbrała. Kije sypały się gęsto. Wodnik umykał niezdarnie w stronę jeziora, próbując uniknąć kolejnych razów. Sulisław zasapał się i spocił, ale dzielnie gonił intruza, aż do chwili, kiedy ten dopadł jeziora i zniknął w jego odmętach.

- Żebyś cię tu więcej nie widział, poczwaro przebrzydła! - wołał do ciemnej wody.
- W toni siedzieć i pluskwy żreć, a nie ludziom pracę marnować!

Wołałby tak jeszcze długo, gdyby z wody nie wyłonił się nagle oślizgły łeb wodnika. Stwór odgarnął z pyska kłęb wodorostów i wykrztusił bulgotliwym głosem:

- Pożałujesz tego, stary dziadu. Stopię kogo dla przykładu.

Nie czekając na odpowiedź, dał nura i zniknął w rozbryzgach białej piany.

...

Siano schło jak marzenie. Od kilku już dni Sulisław nie widział żadnych śladów nocnego gościa ani jego samego. Spacerował teraz dumnie wśród wałów siana i nie mógł się doczekać wieczery przy ognisku, gdzie mógłby po raz kolejny opowiedzieć zebrałym o swojej przygodzie zakończonej zwycięskim pojedynkiem nad wodnym biesem. Sulisław nie mógł przepuścić okazji, by za każdym razem nie ubarwić swojej opowieści jakimś nowym szczegółem. Dotyczyły one głównie upiornych zębów i szponów wodnika, które nagle pojawiły się w jego bajaniach, oraz trudności, jakie napotkał w czasie walki. Walki niemal okupionej życiem. Rybacy kiwali z uznaniem głowami, bo niejeden o wodnikach słyszał, a czasem i jakiego widział. Córki rybaków natomiast słuchały Sulisława z rozwartymi ustami i oczami rosnącymi na przemian z podziwu i przerażenia. Sulisław, który dotąd uchodził za niezdarę i nudziarza, stał się nagle junakiem osady. Nic też dziwnego, że w nowej roli poczuł się spełniony i szczęśliwy.

Tego wieczoru jednak przy ognisku nie było biesiadnego nastroju. Jeden z rybaków, który samotnie wyszedł na wodę, do tej pory nie wrócił. Zwykłe wesołe pogwarki musiały ustąpić miejsca lamentom kobiet i chmurnym minom mężczyzn. Wszyscy rybacy znali wody jeziora na pamięć, dlatego nikt nie wątpił, że jedyne, co mogło powstrzymać nieszczęśnika przed powrotem na wieczrę, to śmierć.

Następnego dnia przy pierwszej zorzy dwóch śmiałków ruszyło łodzią wzdłuż brzegu, by przeczesać płycizny i oczerety w poszukiwaniu zaginionego. Liczono, że woda wyrzuci ciało na brzeg, bo nikt nie miał złudzeń, iż dusza rybaka już u Welesa.



Inni rybacy tego dnia nie wyszli na wodę, bo nikt nie ośmieliłby się łowić, póki zwłoki nie zostaną wydobyte z topieli. Dlatego też z wielkim niepokojem wyczekiwano powrotu poszukiwaczy.

– Źle bardzo, że łodzią na wodę poszli – narzekał stary dziad. – Źle kusić popłynęli.

– Zawrzyj gębę, starcze! – odpowiedziała mu żona. – Nieszczęście już jedno na nas spadło, a ty tu jeszcze gadaniem nowe лихо przywołasz.

Tak sprzecali się aż do wieczora, a śmiałków dalej nie było widać. Rozpalono ogień na brzegu, by uczynić im drogę po zmierzchu łatwiejszą. Prawie cała osada zebrała się w wyczekiwaniu. Nagle coś zamajaczyło na wodzie. Z mroku wyłoniła się pchana delikatnym wiatrem łódź. Była pusta.

...

W chacie starca huczało od krzyków.

– Mów, coś widział!

– Opowiadaj, po coś nas tu zwołał po nocy!

Sulisław stał czerwony na gębie, próbując uciszyć zgromadzenie. Nabrał w piersi powietrza i ryknął:

– Uciszcie się, chłopcy! – Kiedy wszyscy zamilkli, mówił dalej nieco już spokojniej. – Powiedzieć wam chcę, com dziś przy stogach zobaczył. Idę jak co wieczór siana doglądać, bo już mu czas. Odkąd żem wodnika przegonił, wszystko szło jak trza, a tu dzisiaj patrzę i co widzę? Cztery pokraki mi na sianie siedzą i wodą leją.

– I cóż? Tylko po to nas ze snu wyrывasz? – odpowiedział jeden z rybaków.

– A po to! Bo nie dalej jak trzy dni nazad trzech chłopów nam woda zabrała. A teraz co? Trzech nowych mi po sianie lata. Nie wiesz, co to oznacza, głupi?

– Nie.

– Bo siano masz we łbie, nie rozum. Wodnik nam braci potopił i w poczwary zaklął. Tu czary mroczne w jeziorze się odprawiają. Zaradzić co trzeba, bo i my, i gadzina nasza z głodu pomrzemy.

– Prawdę rzecze – wtrącił staruch. – Już trzy dni na wodę rybacy nie wychodzą. Jeszcze trochę i nic do gęby włożyć nie będzie. A na targ też nie pojedziemy. Choćby i było co wymienić, to nam konie wozu nie pociągną, bo też z głodu padną bez siana.

Poruszyła rybaków ta mowa i zaraz poczęli prosić starca o radę:

– To cóż nam poczyć? Co robić? Ty stary, mądry. Pewno już takie czary widział.

– Ja sam nie widział – odparł stary. – Ale dziad mój mówili, że się to zdarza, jako się wodnik w jeziorze ulęgnie. A gdy taki bies się na ludzi zeźli, to topi, a utopionych na drugie biesy odmienia. Dziadunio mówili o takich utopce albo topielce.

– Ty już dziadunia w spokoju ostaw albo mów, jak sobie z nimi poradził – nie wytrzymał Sulisław dziadowego gadania.

– Ano jest sposób. Trza stwora przekupić, to szkodzić więcej nie będzie. Coś cenniego trzeba w wodę rzucić, wodnik bowiem pazerny. A co u nas cenniego? Koń chyba.



BIESY POWIETRZNE

Płanetnik

Odwieczna walka między Perunem a Welesem toczyła się na ziemi, ale jej największe bitwy rozgrywano w powietrzu. Weles nieustannie podrywał do lotu swoje zrodzone z ziemi i wody smoki, po stronie Peruna zaś zawsze stawał bóg wiatru – Strzybóg. Rządził on w powietrzu i na jego rozkaz podrywały się wszystkie biesy powietrzne. W każdym obłoku odnaleźć można było jego sługi. Dowodził armią żmijów walczących ze smokami w czasie burzy. Żmijom pomagali Strzyboży synowie zrodzeni z ziemskich niewiast, które bóg wiatrów uwodził pod postacią męża. Synowie jego zwali się planetnikami i żyli pośród ludzi.

Jeden z planetników chował się niegdyś w najzwyczajszej wsi. Chłopiec mieszkał z matką, która kochała go nad życie. Kiedy pytał, gdzie jest jego ojciec, mówiła mu, że jest synem boga, pana wiatrów, i musi być mu powolnym. Chłopak wierzył jej, bo widział, jak niezwykle jest jego ciało – pod ramionami skrywał skrzydła podobne do wronich. Odkrył też, że potrafi się na nich unieść w powietrze, matka jednak zabroniła mu się tym chwalić.

Minęło kilka wiosen, a planetnik wyrósł na wysokiego pięknego młodzieńca o miodrych jak niebo oczach. Tego dnia jak co dzień pomagał matce w zwyczajnych zajęciach, gdy doszedł go świst wiatru. Dźwięk ten zaczął się układać w słowa, aż wreszcie planetnik posłyszał wyraźny głos:

– Synu! Poderwij się w powietrze i ruszaj! Chwyc obłok i poprowadź moje żmijowe zastępy do bitwy!

Planetnik rzucił swoją robotę i nie pożegnawszy się nawet z matką, wzleciał w obłoki. Strapiona kobieta spojrzała za nim w niebo i zrozumiałwszy, że nadszedł jego czas, uroniła łzę.

Kiedy chłopak wbił się w obłok, już wiedział, co ma dalej robić. Rozkazał żmijom pędzić naprzód. Białe obłoki ruszył pchany przez silny wiatr i wkrótce zderzył się z ciemną chmurą wiszącą nisko nad ziemią. Strzeliły pioruny. Z burzowych chmur wypadły roje smoków, które wściekle natarły na zastępy żmijów. W powietrzu się zakotłowało. Chmury i obłoki zlały się w jedną bezkształtną masę, z której lał się deszcz, sywał się grad i co rusz waliły gromy. Walka była straszliwa. Sam planetnik musiał nieustannie ścierać się ze smokami i strącać je na ziemię. Po chwili spostrzegł, że walka jest już wygrana. Smoki umykały, kryjąc się w odmętach rzek i stawów. Chłopak był tak wyczerpany, że ledwie poruszał skrzydłami. W końcu zupełnie opadł z sił i zwałił się ze świstem na ziemię.

...

Obudził się na posłaniu. Otworzył oczy i ujrzał belki stropu. Leżał w nieznanym miejscu, w której krzątało się kilka kobiet, a przy ogniu siedzieli mężczyźni. Jedna z niewiast, dostrzegłszy, że się przebudził, krzyknęła i podbiegła do niego.

– Jak dobrze, że żyjesz – wyszeptała.

– Co ja tu robię? – zapytał wątłym głosem, gdy wokół posłania zebrali się wszyscy domownicy.

– Burza była okrutna, a po niej mąż mój znalazł cię leżącego w zbożu – odparła gospodyni.

– Czy ty jesteś bogiem? – zapytała mała dziewczynka, za co ojciec skarcił ją srogim spojrzeniem.

– Nie całkiem – uśmiechnął się płanetnik. – Tylko w połowie.

To rzekłszy, zasnął.

Mieszkańcy wsi zaopiekowali się nim z największą troską. Płanetnik z dnia na dzień nabierał sił i po kilku tygodniach spacerował już po zagrodzie. Tego dnia poczuł, że siły wracają mu zupełnie, i ruszył na dłuższą wędrówkę wśród kołysanych zbożem pól.

Wędrował powoli w promieniach letniego słońca. Zapach polnych kwiatów wypełniał mu nozdrza słodyczą. Na drugim końcu miedzy, którą szedł, zobaczył postać. Jej biała suknia skrzyła się skąpana w Dadźbożym blasku. Płanetnik przystanął oczarowany jej sylwetką, której smukły kształt rysował się wyraziście pod przylegającą do ciała lnianą materią. Im bliżej postępowała, tym obraz jej wyostrzał się i zdawała mu się coraz piękniejszą. Dojrzał jej złociste jak pszenica włosy, które rozrzucił wiatr. Była już bardzo blisko, kiedy dojrzał jej bursztynowe oczy i słodkie usta składające się w życzliwy uśmiech.

– Witaj! – powiedziała dziewczyna.

– Witaj! – odpowiedział, czując, że głos więźnie mu w gardle.

– We wsi mówią, żeś jest płanetnikiem, którego chmury zrzuciły na ziemię.

– Owszem – odrzekł pewniejszym już głosem.

– A bo to i prawda?

W głosie dziewczyny usłyszał podziw, zainteresowanie i odrobinę niedowierzania.

– Jak mam ci dowieść, że zesłały mnie niebiosy?

– A czemu miałbyś mi dowody dawać?

– Bo dla ciebie wszystko gotowym uczynić.

Dziewczyna speszzyła się nieco, a jasne jej lico zapłonęło. Po chwili namysłu odparła:

– Chciałabym, żebyś nam wszystkim dopomógł. Odkąd z nieba przybyłeś razem z deszczem, ani kropla na pola nie spadała. To już ponad miesiąc, jak deszczu nie było, i w strachu jesteśmy, że nam plony obumrą.

Płanetnik wnet poderwał się do lotu. Poszybował w obłoki i zniknął. Czekająca dziewczyna czas jakiś, ale widząc, że długo nie wraca piękny chłopiec, ruszyła ścieżką do domu. Nie przeszła jeszcze progu, gdy nad wsią ujrzała ciemną chmurę. Zaraz pierwsze krople uderzyły o spaloną słońcem ziemię. Rozpadało się na dobre, a wyczekujący tej chwili od dawna wieśniacy wyszli przed domy, by cieszyć się przyjemnym chłodem deszczu.

Piękne dziewczę spoglądało w niebo z radością, woda obmywała jej twarz, a ramiona uniesione w górę chwytaly spadające strugi. Chciało jej się tańczyć, bo uwierzyła, że planetnik jest tym, za kogo się podał, i że uczynił ten deszcz specjalnie dla niej. Nie wiedziała, że sprowadzić deszcz mogą tylko smoki, nad którymi planetnik nie ma żadnej władzy. Patrząc z uśmiechem na deszczowe chmury, spoglądała na małą bitwę smoków ze żmijami prowadzonymi przez planetnika. Gdyby tylko miała świadomość, jak zacięte i niebezpieczne mogą być takie potyczki, nie uśmiechałaby się w tej chwili, a już z pewnością nie poprosiłaby młodzieńca o sprowadzenie deszczu.

Tymczasem planetnik po nieudanej potyczce powrócił na ziemię i udał się na spoczynek, bo mrok już zapanował nad światem. Nazajutrz wyprawił się do swej łubej i z radością przyjął jej słowa wdzięczności.

– Czy teraz mi wierzysz? – zapytał, chwytając jej dłonie.

Ona jednak wyrwała się z jego uścisku i umknęła spojrzeniem od jego modrych oczu.

– Wierzę, żeś jest synem Strzyboga, i wdzięcznam ci za to, coś uczynił. Cała wieś nasza wiele ci zawdzięcza, ale pragnę, byś zrobił coś specjalnie dla mnie.

– Co tylko rozkażesz, miła! – wykrzyknął młodzian i uradował się na myśl, że będzie mógł ponownie popisać się przed jasnowłosą.

– Rośnie opodal pradawna, błogosławiona lipa – rzekła. – Pod nią to zbieramy się na dziady i insze Welesowe święta. Wysoko, na samym jej wierzchołku, pszczoły założyły gniazdo. Nikomu dotąd nie udało się od nich miodu podkraść. Może to moc święta broni gniazda? Nie wiem. Ale ty jesteś synem boga, to może mógłbyś przynieść dla mnie trochę miodu, bo jak smakuje ciekawam okrutnie.

Planetnik wziął z jej rąk garnuszek i, nie marudząc, poszedł pod święte drzewo. Przyjrzał się uważnie gniazdu, które faktycznie bardzo wysoko w koronie lipy majaczyło wśród gałęzi. Zdjął koszulę, rozpostarł czarne skrzydła i unióś się w powietrze. Niedługo potem wrócił z garncem pełnym słodkiego gęstego miodu. Bursztynoka niewiasta przechyliła naczynie i skosztowała cudownego nektaru. Wspaniałej słodocy, jaka spłynęła na jej wargi, nie sposób opisać słowami. Planetnik pomyślał, że jemu będzie teraz dane skosztować słodocy jej ust, jednak dziewczyna okazała się bardziej wymagająca.

– Wielką sprawiłeś mi radość i ufam już, że twe słowa i zamiary są prawe – powiedziała. – Chcę, byś spełnił jeszcze jedną jeno prośbę. Powiadają, że nie masz większej rozkoszy nad smak obłoku. Słyszałam, że można kawał białej chmury urwać i skosztować jako twaróg.

Planetnik westchnął jeno i obiecał, że życzenie jej spełni niezwłocznie. I znów poderwał się w niebo i przywołał żmijów kotłujących się w obłoku. Pochwycił dłońmi jego puszystą biel i urwał spory kawał. Obłok jednak prędko rozmywał się w powietrzu i dla swej miłej doniósł jedynie odrobinę. Dziewczyna skosztowała obłoku wprost z jego dłoni. Smak tego podniebnego specjału musiał przejść jej najśmielsze

oczekiwania, bo długo nie mogła dojść do siebie, wodząc rozmarzonym wzrokiem po niebie.

Płanetnik chwycił jej dłoń. Spojrzała w głębiny jego oczu i padła mu w ramiona.

– Mój ukochany – szepnęła. – Wybacz, że naraziła cię na te trudy i na czekanie skazała. Teraz wiem już na pewno, że nikt inny tak o mnie dbać nie będzie. Chcę w takim szczęściu pozostać na zawsze u twego boku.

Chłopak promieniał szczęściem i mocniej objął jej kibić. Gdy ich usta niemal złączyły się w pocałunku, płanetnik nagle wyprostował się i spojrzał ku niebu. Wypuścił dziewczynę z ramion, a jego oblicze spochmurniało. Zerwał się silny wiatr. Młoda niewiasta nie słyszała jednak słów, które w tym szumie wzywały jej lubego do boju. Chłopak odwrócił się i pobiegł ścieżką, po czym rozpostarł swe krucze skrzydła i uleciał ku nadchodzącej burzy. Dziewczę patrzyło, jak znika wśród piorunów, a łzy rozpaczły spływały razem z deszczem po jej twarzy. W głębi duszy wiedziała, że widzi go po raz ostatni.



Wiły

Po bładoniebieskim niebie płynął leniwie kłębiasty obłok. Delikatny wiatr szarpał nim, co rusz zmieniając jego kształt. Patrzący w niebo, ludzie zauważali tylko białą chmurę, nie widząc tego, co skrywa w swym wnętrzu. A w obłoku działo się wiele. Kilka potężnych żmijów kotłowało się w nim, krążąc wokół siebie na orlich skrzydłach. Czterech z nich dosiadały córki Strzyboga – wiły. W wyglądzie niczym nie różniły się od ziemskich dziewcząt. Ich ciała były smukłe i zwiewne. Szalony pęd rozrzucał ich długie ciemne włosy, kiedy ścigały się ze sobą. Ich śmiech i radosne okrzyki niosły się z wiatrem coraz dalej i dalej. Żmijowe cielska wirowały, splatając się węzowymi ogonami. Orle skrzydła biły powietrze, a dziewczęta, zachwycone podniebną zabawą, poganiały je do jeszcze szybszego lotu.

Kiedy potworom brakło już sił, wiły rozkazały im zlecieć na ziemię. Żmije usiadły ciężko na górskiej polanie, a niezmordowane córki wiatru poczęły krążyć w kole. Kto ujrzałby ten taniec, domyśliłby się prędko, czemu zawdzięczały swe imię. Płasały lubieżnie, wijąc się wokół siebie, a ich silne gibkie ciała poruszały się lekko niczym wiatr.

– Ach, siostry! – zawołała jedna z nich. – Jak dobrze móc tańczyć w świetle dnia z dala od ciekawskich oczu.

– Prawda to, siostro – odparła druga. – Ale popatrz, nie jesteśmy tu same. Jakaś para ciekawskich ślepiów błyszczy tam zza krzaka.

Zanosząc się od śmiechów i drwin, wyciągnęły z zarośli przerażoną niewiastę.

– Patrzenie, jaka śmieszna – wołała jedna z Wił.

– Co ona ubrała? – wtórowała jej kolejna.

– Jakieś szmaty! Lepiej zrzuć to z siebie jak my!

Siostry znów parsknęły śmiechem, bo dodać trzeba, że wszystkie były zupełnie nagie, a proste ludzkie odzienie wydawało im się śmieszne i niewygodne.

Kobieta stała pośród nich, nie wiedząc, co ze sobą począć. Najchętniej umknęłaby w las, ale wiły nie pozwalały jej wydostać się z ich szalonego, tanecznego kręgu. Na jej twarzy malowało się przerażenie, wstyd i ogromna troska. Nie uszło to uwadze Strzybożych cór.

– A coś ty taka markotna? – krzyczały.

– Baw się z nami!

– Tańcz!

– Nie mogę! – odpowiedziała na to kobieta ledwie słyszalnym głosem.

Siostry uspokoiły się i wpatrzyły w nią uważnie.

– Co tobie? – spytały.

– Ziółka zbieram dla córki – wydusiła w końcu umęczona kobieta. – Nie przyszłam tutaj umyślnie i nie chciałam wam przeszkadzać.

– Ale nie przeszkadzasz – po tym jak wiła wypowiedziała te słowa, trudno było zgadnąć, czy zdobyła się na życzliwość, czy nadal drwi. – Mów, co córce dolega.



Kobieta nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy, ale teraz nie miała już wyjścia, bo wiły mogły zrobić z nią, co tylko zechciały.

– Cóрка moja, już panna na wydaniu, ale ciągle chora. Błada, słabowita, jeść nie chce, wmuśzać w nią trzeba strawę, a ja już sił nie mam i zioła jakie próbuję na jej niemoc odszukać.

Wiły spojrzały po sobie i zaczęły dyskuszę.

– I co powiecie, siostry, na taką historię?

– Można by jej pomóc, bo to nie kłopot.

– A komu by się chciało, lepiej ją zatańcować.

– Zamilczcie, młoda, nie kobieta od nas nie chce i krzywdy nie czyni, to jej lekarstwo można wskazać.

– Niech i tak będzie! Chodź tu, w las, i słuchaj!

...

Wiły upodobały sobie owo miejsce i często wracały tam potańczyć i wykrzyczeć się do woli. Stało się tak, że kobieta, którą onegdaj spotkały, wróciła na ich polanę i padła przed nimi na kolana.

– Och, moje dobrodziejki! – wołała. – Córkę mi uratowałyście! Jak ja wam się odpłacę?

Wiły osłupiały, bo nie nawykły do takiej wdzięczności ze strony śmiertelników.

– No dobrze już, dobrze! – mówiły, śmiejąc się głośno. – Opanuj się, głupia!

– Wstawaj i chodź tu do nas, a może jeszcze jaki dar otrzymasz.

Kobieta nie wiedziała, czego ma się po nich spodziewać, ale podeszła do dziewcząt nieśmiało.

– Cóрка, mówisz, już zdrowa? – spytała jedna.

– Ano zdrowa! Inne dziecko po tych ziołach, com jej parzyła.

– To słuchaj teraz uważnie! Chcesz wiedzieć, co za los Rodzanice młodej szykują?

Pokiwała głową.

– To nazbieraj chrustu i skrzęsaj ogień.

Kobieta uczyniła wszystko, jak jej wiły przykazały.

– Teraz utnij sobie kosmyk włosów i rzuć w płomienie.

Ogień strawił włosy niewiasty w okamgnieniu, ale Wiły musiały coś z tych płomieni wyczytać, bo obsiadły ogień i długo wpatrywały się w jego taniec i badały, jak dym ulatuje ku niebu.

– Szczęście masz, kobieto! – rzekła w końcu najstarsza z wił. – Cóрка twoja rychło za mąż pójdzie i także córkę porodzi.

– Co mówisz, pani? – skrzeczała kobiecina, z trudem wstrzymując łzy radości. – Toć to szczęścia większego nie ma dla matki.

– A teraz idź i daj nam pohulać w tej głuszy!

Biegącą do wsi kobietę odprowadziły dzikie wrzaski i śmiechy rozszalałych cór Strzyboga.

...



Samon, kupiec rudowłosy

Było to w czasie tak dawnym, że o tym i dąb najstarszy w puszczy nie pamięta; gdy posiadł był już lud słowa wsze ziemie obfite w skarby, zboże i zwierzęta. Rozciągała się słowiańska dziedzina szeroko, od chmurnego posępnego morza na północy do ciepłych śródziemnych wód na południu, co kąpały się nieustannie w słonecznym blasku. Na zachodzie przeszli dziadowie nasi Łabę i poznali skute lodem góry, gdzie siedzieli już niemieckie plemiona. A w tamtej stronie, skąd każdego ranka wstaje promienny Dadźbóg, końmi przemierzali bezkresne stepy, których oko ludzkie nie ogarnie.

Dzielili się Słowianie na wiele rodów i szczepów, a każdy z nich rządził się wedle praw przez lud ustanowionych. Mężowie, co doszli wieku pełnego, zbierali się na wiecach i tam społem radzili, co dla ich plemienia najlepszym się zda. A choć i wodzów na czas przepraw wojennych wybierali, przecie i ci słuchać musieli głosu zgromadzenia.

Lecz oto przyszedł rok, gdy wiele słowięskich pokoleń wolność swą straciło. Od wschodu nadciągnął lud potężny i dziki. Przezowano ich Obrami, albowiem niby olbrzymi byli wysocy i straszni. Włos ich czarny niby heban, w dwa warkocze związany, płeć ziemista a oczy skośne jako u drapieżnego rysia. Na koniach śmigłych niby błyskawice przebieżali słowięskie dziedziny, grabiąc, mordując i uprowadzając niewiasty. A wszystko zwozili nad Dunaj, gdzie ich władca, kaganem zwany, ustanowił stolicę. Nie był to zaś gród z drewna ni kamienia, ale obóz warowny, z namiotów złożony.

W tym czasie z kraju Franków do ziemi Słowian wyruszył pewien kupiec. Nie pierwszy to był raz, gdy przekraczał Łabę. Wiedział, że ta kraina obfituje w skarby, które z zyskiem sprzedać może w swej ojczyźnie. Był tu i bursztyn, i miód, i skóry zwierzęce, a przede wszystkim niewolnicy robotni, których chętnie kupowali frankijscy uprawcy winorośli. Tym razem jednak Samon, bo takie było jego miano, nie mógł zdziałać wiele na kupieckiej niwie. Odwiedził wiele siół i grodów, co liczne są wśród Czechy a Morawiany, ale nawet możni panowie, dzierżący ziemi wiele, nie byli skorzy, by kupować frankijskie szaty, kielichy i pierścienie.

Pewnego wieczora zatrzymał się Samo ze swymi towarzyszami, wozami i dobrem wszelakim w karczmie na Morawach. Zniechęcony i zmęczony siedział przy dzbanie miodu, powoli sącząc słodki napój bogów. Zoczywszy, że stary karczmarz stoi smętny w wejściu, wpatrując się w mrok, przywołał go do ławy. Jako że mowę słowięską znał już bardzo dobrze, postanowił wypytać go, dlaczego tutejsi mieszkańcy tak skąpi się stali.

- Ależ czerwonowłosy panie - rzekł karczmarz smutnym głosem - kogóż stać teraz na cudzoziemskie dobra, gdy Obrzy nakładają na nas trybuty straszliwe?

Gdy inni goście gospody posłyszeli, o czym mowa, zaraz włączyli się do rozmowy i jeden przez drugiego poczęli opowiadać, jakież to nieszczęścia spadły na nich od dzikich przybyszów:

- Wszystko nam zabierają!

- Gdy braknie nam złota i srebra, to przychodzą po zboże, świnie i łowną zwierzynę, a nawet córę naszą porywają jako nałożnicę!

- A gdy zima śniegiem pokryje pola, a rzeki lodem skuje, schodzą się do naszych domostw, jedzą i piją za darmo, próżnując sobie od rana do wieczora.

- Każą, by wyprawiać się z nimi na Carogród, gdzie wielkie bogactwa mają czekać na dzielnych wojów, ale prawie wszystko zabierają dla siebie, a to, co zostaje, biorą sobie nasi wodzowie i naczelnicy, nie dzieląc się z nikim.

- Tych zaś, co się sprzeciwiają, mordują albo sprzedają kupcom śniadolicym z południa i wschodu w niewolę!

Zadumał się Samo nad tym, co posłyszał, i smutek spowił jego duszę, wiele dobrego spotkało go bowiem od tego narodu i niedolę jego wielce przykrą znalazł. Milczał przez czas dłuższy, zapatrzonego w kielich skrzęcał się trunkiem. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

- Dumam, że mógłbym znaleźć radę na waszą niedolę, lecz czy wodzowie wasi raczą mnie wysłuchać?

Na to rozległ się głos z izby:

- A pewno, że wysłuchać muszą. Za dwa dni wiec wielki odbyć się ma w Mikulczycach. Tam naczelnicy a starsi wszystkich plemion, co siedzą w Czechach, Morawach i dziedzinie nitrzańskej, spotkają się, by radzić nad przygotowaniami do wojennej wyprawy, którą kagan przeciw Grekom zarządził. Na wiecu każdy wolny syn słowa głosu zabrać może, a tyś przecie nie rab i mowę naszą znasz.

- A więc udam się tam i ja - odparł na to Samon, po czym zamaszystym ruchem podniósł kielich i spełnił go do dna.

...

Mnogo narodu zeszło się w Mikulczycach, że gród ledwo pomieścić ich mógł. Główne obrady trwały na placu ofiarnym, gdzie dąb wielki rósł i źródło z ziemi biło, a wokół nich rów wielki krąg zamykał, a wzdłuż rowu słupy stały misternie rzeźbione, ku chwale bogów wystawione, a na każdym słupie czaszka końska albo i turza spoczywała. I ołtarz był kamienny, i rozpalone palenisko. Tam to żyrzec uczynił ofiarę, zarzynając wołu i Perunowi, bogu walecznemu, modłę składając. A gdy obrządków dopełnił, wodzowie przemawiać poczęli, mówiąc, ilu wojów kagan przykazał wysłać każdemu plemieniu.

Wreszcie kończą prawić słowa, co smutkiem i wściekłością napełniają zgromadzonych, a wtedy powstaje Samo, ów mąż z obcego narodu, rudowłosy a wielki jako topola, i rzecze:

- O mężowie dumni, ludu słowa, jak długo jeszcze chcecie znosić upokorzenia, które zsyła na was kagan, ten koński syn, pies skośnooki?! Powstańcie przeciw jego samodziarzawiu, okowy zrzućcie niewoli!

- Coże prawisz, cudzoziemcze, za niedorzeczności? - powiada jeden z naczelników plemiennych. - Wielka jest moc kagana, jakże nam się z nią mierzyć?

- A jednak wasza moc większa jest - odrzekł niezrażony Samon - choć o tym nie wiecie. Wszak Słowian mnogo jako ziaren piasku na brzegu, a Obrzy nieliczni. Zjednoczyć się musicie. Miał wielu odrębnych plemion jedną rzeszę uczynić.

- Dobrze prawi ten Frankijczyk! - krzyczy ktoś z tłumu. - Wypowiedzmy posłuszeństwo okrutnikom, na Carogród nie ruszajmy.

- Ależ idźcie na Greków z Obrami - sprzeciwia się Samo - lecz gdy zacznie się oblężenie Carogrodu, porzućcie kagana, na pastwę czcicieli jednego boga go wydajcie, a sami skoro wracacie do swej dziedziny. W Panonii jeno nieliczni Obrzy zostaną, łatwo ich wytraciecie.

Zdumieni się zgromadzeni mądrością Samonową i postanowili rad jego wysłuchać. Jakoż ruszyli na południe, gdzie za Dunajem kagan obóz rozbił, a potem wraz ze skośnookimi wojownikami pod sławną stolicę Greków podeszli, jedni jako piechota, inni na łodziach drewnianych płynąc. Lecz po dniach kilku, gdy noc zapadła, porzucili oblężenie pod osłoną mroku, a konie Obrów pokradli. Gdy Grecy spostrzegli, że sojusznicy oblężników zdradzili, natarcie przypuścili okrutne. Krasne stały się wody Bosforu i Czarnego Morza od krwi pokonanych najeźdźców, a kagan, sromotą okryty, ratować się musiał ucieczką.

Tymczasem wojowie słowiańscy skoro dotarli na północ na rączych koniach Obrów i wnet przystąpili do rozprawy ze znenawidzonymi ciemiężcami. Rychło znieśli wszystkie obozy wroga w ziemi czeskiej, morawskiej i nitrzańskej, a ich załogi w pień wycięli. Kto żyw uszedł z krwawej zasadzki, w ukryciu wielkim podążać musiał do Panonii, przemykając się przez miejsca pustynne a leśne komysze. Samon bowiem, który częścią wojsk dowodził i wielką się wślawił walecznością, przykazał, by każdego Obrę, co do osady ludzkiej się zbliży, pochwycić i stracić. I rzeczywiście, gdy jaki nieszczęśnik zabłąkał się w pobliże sioła czy sadyby i zobaczył go któryś ze smardów, nie mógł spodziewać się zmiłowania. Wnet takiego powrozami krępowano i na ołtarzu złożywszy, ku ucieście bogów gardło mu podrzynano. Ciała zaś chłopkowie rychło na stosie palili, w obawie, by z takiego truchła wąpierz jakowys się nie wylągł.

...

I tak zrzucili Słowianie jarzmo przybyszów ze wschodu. Gdy walki ustały, zebrali się wodzowie i starsi, a z nimi mężów wolnych krocie, na wielkim wiecu w Mikulczycach, by postanowić, jak też wolność swych plemion utrzymać i chronić. Gdy wreszcie się naradzili, ogłosili wielkie nabożeństwo dziękczynne ku czci Peruna, boga wojennego, uczynione. A gdy wielki żyrzec grodu dokonał obrządków, zwrócił się do Samona, co również na wiec przybył, w te słowa - Wielceś przyczynił się, Samonie, do naszego zwycięstwa, twa mądrość i odwaga sławnymi stały się pośród ludu naszego. Dlatego postanowiliśmy obrać cię księdzem nad wszystkimi szczepami Słowian, co żyją po tej stronie Karpat. Panuj nad nami, jako panuje kagan nad Awarami, car nad Grekami, a król nad Frankami.

Zakrawa na paradoks, że współczesny Polak dysponuje prawdopodobnie znaczniejszym zasobem wiadomości na temat mitologii greckiej, rzymskiej, być może nawet egipskiej czy mezopotamskiej, niż mitologii słowiańskiej, najbliższej mu kulturowo. Z niej przecież wyrasta w ogromnej mierze polski folklor, obrzędowość ludowa, a nawet liczne zwyczaje obecne w kulturze ogólnonarodowej [...].

Ze wstępu

Mitologia słowiańska jest pierwszym literackim opracowaniem podań i legend słowiańskich. Autorzy, w oparciu o aktualne opracowania naukowe z dziedziny historii, religioznawstwa i językoznawstwa, w sposób barwny i pobudzający wyobraźnię prezentują sylwetki pradawnych bogów, herosów oraz postaci słowiańskiej demonologii. Publikacja jest zbiorem fabularnych opowiadań ilustrujących treść słowiańskich mitów, wzbogaconym o oryginalne ilustracje autorstwa Magdaleny Boffito.